

Rafał Wojasiński
**Ludzie
czerwonego
słońca**

Z obrazami
Franciszka
Małuszcza

BOSZ



Jackowi

Rafał Wojasiński

Ludzie czerwonego słońca

Z obrazami
Franciszka
Maśluszczaka

BoSż

1

Lucek leżał w rowie. Po jego prawej stronie ciągnęło się przez dwa kilometry pole kukurydzy. Wiatr przedzierał się pomiędzy liśćmi i ciężkimi kolbami. Od remizy, gdzie raz w miesiącu ksiądz odprawiał mszę, szła Monika. Lucek usiadł i patrzył na nią. Bujała się w biodrach. Zapalił papierosa, wstał i ruszył w kierunku swojego domu. Miał po rodzicach pokój z kuchnią w czworakach niedaleko pałacu. Przed drzwiami do sieni splunął. Kici, kici, kici!, wołał. Pewnie psy zagryzły. Głupi kot, powiedział. No, gdzie jesteś? Co za zwierzę. Kici, kici, kici. Głupi kot. Nie dam ci już jeść. Nie dam ci już nic. Głupi kot.

Wszedł do domu, zdjął buty i kurtkę. Stał przez jakiś czas, jakby nie wiedział, co dalej. Sień zrobiła się szara i zimna jak kamień na polu. Poszedł do kuchni, położył się na tapczanie. Pod plecami czuł przez chwilę zimno i wilgoć, potem się tam ociepliło. Zerknął przez okno na kawałek drzewa i nieba, po którym przesuwały się niesione wiatrem chmury. Próbował zasnąć, ale mu się nie udawało, więc zapalił papierosa na leżąco i patrzył na ścianę. Rysy, dawne



Bujają się w biodrach

wzory po wałku, ciemne plamy, dziury po gwoździach. Wiele razy zagapiał się w to miejsce wieczorami, robiło mu się wtedy ciepłej na sercu. Zgasił papierosa na spodku i zamknął oczy. W głowie ożywały myśli. Pole kukurydzy, pies, który zdechł kilka lat temu, remiza, szosa, stajnia, Monika.

Obudził się o czwartej trzydzieści. Ciemność zakrywała pokój, pochłonięła meble, ściany, dom i cały świat. Nic nie było widać. Usiadł na łóżku, pochylając się do przodu. Wydawało mu się, że po czole spływa mu pot. Sprawdził ręką, ale okazało się, że czoło jest suche. Po chwili wstał i zachwiał się nieco. Zawroty głowy od papierosów z poprzedniego dnia. Zjadł jajecznicę, włożył kurtkę i gumofilce, wyszedł na zewnątrz. Niedaleko studni leżał rower. Pojechał nim szosą dwa kilometry do spółdzielni. Ciemność i zimno. Światła dopiero przy skręcie do bramy wjazdowej. Wjechał na zimne podwórko, błoto zablokowało koła, Lucek zachwiał się i przewrócił. Przez chwilę leżał w zimnym i schnącym już błocie. Nie chciało mu się wstawać. W takich momentach, gdy czuł ziemię pod plecami, rozmarzał się, tracił siły, szybował do nieba. Był w raju. Nocny stróż pojawił się przy nim nagle i kopnął go lekko w ramię. Wstawaj, powiedział. Zgłupiałeś? Weź rower, bo cię tu rozjadą, miazga z ciebie zostanie. Lucek z ciężarem i cierpieniem w sercu wstał. Mogło tak zostać na zawsze. Czuł, że szczęście już było blisko, bardzo blisko. Odstawił rower pod drzewo niedaleko zbiornika przeciwpożarowego. Wyprowadził ze stajni konia, zaprzągnął go do wozu i w ciemności ruszył drogą z powrotem w stronę swojej wsi. Kiedy dojeżdżał do domu starej krawcowej, zatrzymał konia, zsiadł z wozu. Podeszedł do tylnego lewego koła i kopnął w nie. Poszedł w głąb, ze czterdzieści metrów od szosy, gdzie był dom, a za domem obo-ra. Przy furtce stała bańka z mlekiem – dziesiątka. Zapalił zapałkę, żeby sprawdzić na dekle namalowane farbą olejną imię i nazwi-

sko. Robił tak za każdym razem, przy każdym gospodarstwie. Włożył kankę na wóz i ruszył. Wkoło ciemno. Zapach konia. Odgłos kopyt stukających po szosie. Był w trasie za wcześniej, więc miał czas. Mógł jechać wolno, spokojnie zbierać bańki z kolejnych gospodarstw, rozmyślać, palić papierosy. Gdy dotarł do zlewni, już robiło się widno. Oddał mleko, odebrał puste bańki, wrzucił je na wóz i podjechał na tył budynku. Zsiadł z wozu, zapalił papierosa. Z biura wyszedł kierownik.

- Co jest? – spytał.
- Nic – powiedział Lucek.
- U ciebie zawsze nic.
- A u ciebie co?
- Jednak głupi jesteś.
- Tak jak ty.
- Nic dziwnego, że zawsze cię lali.
- Nic dziwnego.
- Boisz się?
- Czego?
- Zawsze się czegoś boisz.
- Sam się boisz.
- Idziesz na zabawę?
- Kiedy?
- W sobotę.
- Może idę.
- Może któraś cię za rękę weźmie?
- Może weźmie.
- Ty umrzesz i nawet nie użyjesz życia.
- Może.
- Głupi jednak jesteś.
- Może.

- Daj mi to.
- Zaraz, zaraz. Masz forszę?
- Mam.
- Tu jest drogo.
- Widzę.
- Te ceny są dla tych, co bilety kupili. Ty musisz zapłacić dwa razy więcej.

- Dlaczego dwa razy?
- Masz bilet?
- Nie mam.
- To płacisz, frajerze.
- Płacę.
- No i ładnie.
- I jeszcze colę.
- Dużą?
- Dużą.

Lucek zapłacił, włożył butelki do kieszeni, colę wziął pod pachę. Wyszedł na zewnątrz. Poczul zimno. Nagle pojawił się przed nim Roman z kolegami.

- Co? Idziesz imprezę zrobić sobie w samotności? – spytał.
- Idę do domu.
- Do domu?
- No do domu.
- To ty masz dom? Nie wiedziałem – powiedział Roman.
- I po co tam idziesz? – spytał Gienek.
- Idę, bo jestem zmęczony. Mam dosyć łożenia – powiedział Lucek.

- Osłabłeś? Może z koniem za mało gadasz?
- Idę do domu.
- A kto ci przeszkadza?



Daj mi to

– Ty.

– Słyszałeś? – powiedział Gienek. – Przeszkadzam mu. A co słychać u brata? Podobno ktoś mu nos uszkodził?

– Nie mam brata.

– A co masz?

– Idę.

– A kto ci przeszkadza?

Lucek ruszył do przodu. Patrzyli na niego, jak szedł na tory po rower.

– Zdychaj! – krzyknął Roman.

– Będziesz zdychał! – powiedział Gienek.

Lucek wolną ręką postawił rower i ruszył w kierunku swojego domu, trzymając rower za kierownicę. Miał ze sto metrów, może trochę więcej. Kiedy przechodził koło pofolwarcznego pałacu, spojrzał w oświetlone okno na poddaszu. Tam mieszkała z synkiem żona jego kolegi z klasy. Kolega siedział od dwóch lat. Lucek go lubił. Potem Lucek przeszedł przez szosę i wszedł na podwórkę między czworakami. O ścianę przy drzwiach wejściowych do swojego domu oparł rower, ale ten się przewrócił. Lucek popatrzył chwilę na leżący pojazd, wszedł do sieni, zrzucił z nóg buty, otworzył drzwi do kuchni i wszedł do środka. Na stole postawił butelki. Położył się na tapczanie. Lewą dłonią włączył radio. Leciąła spokojna muzyka. Oddychał równo. Patrzył na plamy na suficie z wyrazem szczęścia na twarzy. Zasnął.

Z pola kukurydzy za remizą wyszedł Paweł. Poprawił włosy i zbliżył się do okna budynku. Zajrzał do środka. Ludzie tańczyli, siedzieli przy stolikach, pili, jedli. Było głośno. Paweł uśmiechnął się. Przez tylne drzwi wszedł na salę. Podeszedł do bufetu. Kupił piwo i wyszedł z butelką z remizy. Nikt go nie zauważył. Wszyscy byli zajęci swoimi podchodami, godami albo piciem i jedzeniem.



Zasnqł

Paweł co jakiś czas zaglądał przez okno do środka. Jego oczy były spokojne i pewne. Dopił piwo, rzucił butelkę w trawę i znowu wszedł do remizy. Dym papierosowy, zapach bigosu, alkoholu i potu. Podeszedł do bufetu. Kupił jeszcze jedno piwo. Usiadł przy parapecie. Naprzeciw, przy stoliku, Monika piła drinka. Obok siedział jej chłopak. Wstali, gdy zaczynał się następny taniec. Chłopak wyszedł do łazienki. Monika na stojąco dopijała alkohol. Paweł zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki. Dziewczyna uśmiechnęła się. Paweł chwilę stał bez ruchu. Sięgnął do kieszeni. Wyjął nóż i wbił go Monice w szyję. Pociągnął w dół. W tłumie, dymie i półmroku nikt tego nie zauważył. Kobieta usiadła na krześle. Spadł jej but z prawej nogi. Paweł wyszedł przez tylne drzwi i wbiegł w pole kukurydzy. Ktoś krzyknął, potem znowu ktoś inny. Zapalono światło. Próbowano ratować dziewczynę. Wezwano policję i pogotowie. Monika wykrwawiała się szybko.



Było głośno

Ludzie czerwonego słońca to zdumiewająca historia uchylająca za ledwie rąbek tajemnicy ludzkiego losu. Losu, na który jesteśmy zdani. Losu kołyszącego się pomiędzy dojmującą rzeczywistością a dramatem rodem z greckiej tragedii. Polecam.

Anna Seniuk